

Jakub Lubelski: Arogancka elegancja, czyli "rozkosze konserwatyzmu"

Tyrmand zdaje sobie sprawę z tego, że aby powstała wielka literatura, nie może dawać wciągać się w „pisanie przy ziemi”



Tyrmand zdaje sobie sprawę z tego, że aby powstała wielka literatura, nie może dawać wciągać się w „pisanie przy ziemi”

„Na terenie uniwersytetu w Houston ujrzałem grupę studentów zagorzale dyskutujących pośrodku trawnika. Podszedłem bliżej. Rozmawiali o Bogu. W krajach komunistycznych nawet studenci o zapatrywaniach antymarksistowskich nie rozmawiają o Bogu. I wcale nie dlatego, że to jest zabronione, lecz dlatego, że uważają takie

rozmowy za stratę czasu. Bóg nie jest ich najważniejszą potrzebą. Oni potrzebują wolności, jazzu, niezależnej literatury i džinsów” (Zapiski, s. 18) – zauważył w Zapiskach dyletanta Tyrmand w Ameryce.

Mateusz Matyszkowicz, po objęciu stanowiska redaktora naczelnego kwartalnika „Frona”, pisma z długą i budzącą szacunek tradycją, zapowiedział zaskakująco, że nowa odsłona pisma to będą „dżinsy prawicy”. Hipster Prawica zaś, tworząca trzon redakcji – wzbudzając niemałą sensację – za patrona redakcji uznała Leopolda Tyrmanda. Autorem Złego interesowało się wielu konserwatystów, reprezentantów różnych pokoleń, pisał o nim nie tylko Ryszard Legutko, ale też Tomasz Merta czy Jarosław Gowin. Jednak dodanie pisarza do stopki redakcyjnej wzbudziło zainteresowanie. Lolo potrafi skupiać uwagę, przyciąga do dziś. Jakie są zatem nasze związki, czym będą te nasze „wolność, jazz, niezależna literatura czy džinsy”? A może nasza sytuacja różni się diametralnie od opisywanych „młodych w państwie komunistycznym”? Może już ich nie potrzebujemy? Czy jesteśmy bardziej podobni do studentów w Houston na trawniku? Czy chcemy rozmawiać o Bogu? O czym chcemy rozmawiać i w jaki sposób? Na wszystkie te pytania nie odpowiemy za jednym razem. Ale zacznijmy tę robotę, która stoi przed nową redakcją. Przeczytajmy Tyrmanda!

AWANGARDA CZY KLASYCZNA AROGANCJA?

W Dzienniku 1954 Tyrmand potrafił zapisać sporo zdań na temat kołnierzyka koszuli, którą szył u pana Dyszkiewicza. Kupował źle skrojoną, ale w miarę gatunkową w Centralnym Domu Towarowym i przerabiał według swoich eleganckich upodobań. „Mój własny, nieoceniony sposób ocierania się o cywilizację, czyli rozkosze konserwatyizmu” (Dziennik, s. 41) – podsumowywał. Tymi swoistymi

litaniami o „ciuchach” zdumiewał, a nawet śmieszył niektórych; według innych, postępowanie to miało dalekosiężne skutki i ogromne znaczenie. Czym były zatem te „rozkosze konserwatyzmu”?

Znany jest pogląd, że Tyrmand swym stylem wyrażał postawę antykomunistyczną stokroć mocniej niż niejeden traktat. „Ja z moim stylem życia jestem groźniejszy dla komunizmu niż papieskie encykliki społeczne, neotomizm i cała subtelna wiedza Turowicza o współczesnym katolicyzmie. Coś mi się wydaje, że Berman woli dyskutować z Maritainem i księdzem Piwowarczykiem niż ze mną, pajacem w kolorowych skarpetkach, bełkoczącym jakieś idiotyzmy o jazzie” (Dziennik, s. 22). Elegancja Tyrmanda była swego rodzaju próbą codziennego, praktycznego i mającego namacalny charakter oporu, cywilizacyjnej twierdzy. Wielu to niezwykle pociągało, ale dla licznych było na tyle czytelne i radykalne, że trudne do wytrzymania: „Dla Leopolda partią jest jego własna wrażliwość”. W Polsce powojennej jest to partia rozstrzeliwanych – odpowiedział. „Wszyscy się zaśmiali, ale jakoś nieszczerze. Kłopot...” (Dziennik, s. 217).

Pokutuje opinia, że Tyrmand ubierał się kolorowo, wręcz krzykliwie i ekstrawagancko. Czy jednak nie należy poddać tego obiegowego poglądu subtelnej korekcie? Czytamy w Dzienniku: „Ubranie to samopoczucie, dlatego ważna jest nie moda, lecz elegancja, zaś, co jest elegancją, zależy od tylu czynników w człowieku i wokół człowieka, że pożytecznie jest się nad tym od czasu do czasu zastanowić. Ja lubię w ubiorze wąskość formy, gatunek, kolor; lubię tweedy i wełny, swetry i krawaty. Lubię barwy, określane przez plastyków jako «złamane»: szaroniebieskość, beże i brązy, płowa brunatność, butelkową zieleń” (Dziennik, s. 359–360). Zatem manifestacja elegancji spełniała również funkcję wyrażania ludzkiego indywidualizmu.

Tyrmand zupełnie na poważnie przekonany był o słuszności swego zawołania: „pokaż mi twe skarpetki – powiem ci, kim jesteś”. Ileż szkód obecnie robi pisarzowi ta nieśmiertelna zbitka: Tyrmand – skarpetki. Bo gdy czytamy: „Skarpetka stanowi szczątkową pozostałość pończochy i przeżywa obecnie okres upadku w ogólnej problematyce ubioru męskiego. Jest to niesłuszne i niesprawiedliwe. Wiemy, jak wielką wagę przywiązywał do rodzaju, koloru i gatunku pończoch wiek XVIII, wiemy także, jak wiele mówiła wówczas pończocha o charakterze człowieka wprawnemu obserwatorowi. Długie, aż do kostek, spodnie zgnębiły pończochę i nauczyły nas nieprzywiązywania wagi do skarpetek. Dziś jest nam wszystko jedno, jakiego koloru są nasze skarpetki, byleby nie były dziurawe i w stosunku tym tkwi kapitalny błąd. Właśnie zakryta spodniami skarpetka, demonstrowana nie zawsze, lecz jedynie w chwili podniesienia nogi, kryje w sobie ogromnie wiele prawdy o człowieku”. (Wędrówki..., s. 57) – tu widać, jak solenna tonacja jest przełamywana w seriokomicznym geście oporu.

Cóż zatem było z tymi skarpetkami, marynarkami, szaliczkami, koszulami, kołnierzykami? Tyrmand nie był awangardystą, był raczej w pełni tego słowa elegantem, co w głębokim PRL-u miało oczywiście opozycyjno-awangardowy wydźwięk. Tyrmand – elegancki dandys obrażał PRL bardziej niż Tyrmand „pajac w kolorowych skarpetkach”. Jeśli tak o sobie napisał, było to ironiczne powtórzenie słów niechętniej mu propagandy. Dziś, być może bardziej przypominając młodzież na trawniku w Houston, nie rozumiemy tego tak dobrze...

ISTNIENIE NIEPRAWIDŁOWE

Dziennik 1954, bodaj najlepsze dzieło literackie Leopolda Tyrmanda, to tekst legenda. Ale nie interesuje mnie najbardziej, ile poprawek dokonał autor w Ameryce w stosunku do notatek oryginalnych; nie interesuje mnie także warstwa plotkarsko-towarzyska, w ramach której, rzeczywiście, dość boleśnie autor rozprawia się z niektórymi przyjaciółmi. Na temat dużego znaczenia socjologicznych obserwacji Polski Bieruta, a także o znakomitym wątku miłosnym napisano już wiele. Bardziej interesuje mnie aspekt literacki, albo – by powiedzieć precyzyjniej – status literacki dzieła, to – czym właściwie jest Dziennik? Powód, dla którego Tyrmand rozpoczął jego pisanie, jest prosty: „Mam blisko trzydzieści cztery [lata] i gniję. Jestem pisarzem, któremu nie wydają książek, publicystą nie drukującym artykułów, dziennikarzem nie mającym wstępu do żadnej redakcji. Nikt nie chce ode mnie scenariuszy, nie błyszczę, nie bywam, nie mam rangi, nie stoję na szczepku. Po prostu nie ma mnie. Wszystko dlatego, że chcę w moim kraju żyć, myśleć i pracować tak, jak uważam za słuszne. Za to płacę nieprawidłowością istnienia i zakazem rozwoju” (Dziennik, s. 221). W innym miejscu chęć rozwoju wbrew politycznemu zakazowi rozumiana jest także jako praktyka literacka: „Ten dziennik jest namiastką twórczości. Jest moim usprawiedliwieniem wobec samego siebie, a nie konstrukcją niezależną, samo przez się uzasadnioną i rozwiniętą. I w ogóle: czy to jestem ja? Zawsze wierzyłem i sądziłem, że człowiek winien wyrazić się w działaniu, oczekiwałem znaku do działania, do spełnienia mojej powinności, wszystko inne to onanizm i wpiery czy później brzydki. Mnie odmówiono dzieła i działania. Kto? Aż wstyd powtarzać” (Dziennik, s. 33). Jeszcze w innym miejscu przeczytamy autora zniechęconego, wątpiącego w wartość literacką swej pracy: „Ja wiem, że ten dziennik to nie twórczość. Ale daje jakieś ułomne, niepełne satysfakcje, jakieś grzebanie się w nieprzewidzianym – jeśli pomyśleć, co może się z nim jeszcze stać” (Dziennik, s. 98). Jeśli nie jest

to dzieło literackie, to co? Jakich określeń zastępczych dostarcza nam autor? „Dziennik jako rekompensata, kuracja, środek uspokajający, miltown, morfina, valium. Rozkoszne pieniactwa w brulionie za złoty dwadzieścia” (Dziennik, s. 185). Czy tylko Dziennik jako lekarstwo i środek uśmierzający bóle? Nie tylko. Tyrmand miał także świadomość niebezpieczeństwa społeczno-towarzyskiego swoich notatek: „Moje myśli o innych ludziach to zabawa trotylem. Albo pożywka dla awansu jakiegoś zbira. Czyli w gruncie rzeczy wybór moralny. Może lepiej spalić i zapomnieć i nic tylko czekać na wiosnę, żeby sobie pograć w tenisa?” (Dziennik, s. 35).

Jak widzimy, mimo ciągłej zmiany statusu dziennika i prowadzonych zapisków, Tyrmand wciąż wadzi się sam z sobą, ciągle zmagając się z niezadowoleniem, co pozwala nam sądzić, że traktował swą pracę dość poważnie, na tyle poważnie, by czytelnik nie wątpił w stricte literackie aspiracje. „Ciągle mi czegoś w tym tekście nie dostaje, nie starczy. Czego? Prawa, czy przywileju, do oderwania się od konkretności, do lepienia własnej prawdy, zgodnej z jakąś ogólną, której trzeba poszukać przez imaginację. Pozwolenia na własne, niczym nie hamowane majstrowanie własnego szczegółu” (Dziennik, s. 33). Choćby w tym, ale i w wielu innych miejscach, otrzymujemy właściwie autorski sposób rozumienia literatury. To samo powtarza autor w socjologicznym kontekście: „Ja chcę zawrzeć w dzienniku siebie samego wmontowanego w moje społeczeństwo i w moją epokę: mimo że samo życie czyni ze mnie antagonistyczny podmiot, wcale nie palę się do wyjątkowości. Potrzebna mi jak gwóźdź w bucie. Więc kiwam ołówkiem wieczorami, ażeby zaprzeczyć temu co jest, mimo że tak bardzo wolałbym być sceptycznie uśmiechniętym profitantem” (Dziennik, s. 29).

Tyrmand zdaje sobie sprawę z tego, że aby powstała wielka literatura, nie może dawać wciągać się w „pisanie przy ziemi”, w konteksty jedynie społeczno-kulturowe, musi „procesować się z Bogiem”: „Czytam zapisane kartki i mierzi mnie, jak dalece życie moje opanowane zostało przez politykę, epokę, ideologię. Gigantyczne zwycięstwo komunistów, tak przesycili sobą cały tuż-obok-świat, że nawet ja ulegam ich gwałtowi; najlepszym dowodem ten dziennik, czyli obsesja polemiki. Mnie tu prawie nie ma, jest moje ujadanie przeciw. I to jakieś zaniżone. Prometeusze, Edypy, Konrady i ci rozmaici inni, co pasowali się z Bogiem, losem, przeznaczeniem, a teraz nie przychodzą mi do głowy, jakże wzniesieni i nobilitowani przez swego Przeciwnika. Procesować się z Bogiem, cóż za piękne marzenie! Komunizm to tylko Golem, niebotyczny, to fakt, lecz glina i brud. O tyleż moja walka gorsza, mniejsza, brudniejsza. A przecież czuję się chory i pusty – i gdzie to jest? Tak być nie może, to przecież jest mój dziennik!” (Dziennik, str. 85). Bóg Tyrmanda? Już wiemy, że by powstawała naprawdę dobra literatura, potrzebne jest procesowanie się z Najwyższym. A co z wiarą pisarza? Daje się odczytać w literaturze autora Dziennika? Spróbujmy zatem zmierzyć się z tematem.

BÓG TYRMANDA

„Rano ukorzyłem się przed Bogiem. Jak zawsze z racji świąt, początków, końców, rocznic, urodzin, imienin, spełnień i w ogóle przy każdej okazji, jaka się do tego nadaje. Oraz z innych powodów do metafizycznych rozrzewnień. Stąd – w imię Boże. Zaczniemy wreszcie ten dziennik. Wiążę z nim niejasne nadzieje, jakże więc bez Boga?” (Dziennik, s. 11) – zapisuje na samym początku swej pracy pisarz. Ponownie możemy mieć jednak poczucie, że Bóg Tyrmanda jest jedynie siłą motoryczną w procesie tworzenia, tematem literackim. Co z wiarą

pisarza? „Z domu rodzinnego wyniosłem szacunek dla religii, bez przymusu praktyki, a nawet bez konieczności pełnej akceptacji. Natomiast efektywnie wstrzyknięto mi imperatyw uczciwości, raczej abstrakcyjnej, nie wywodzącej się z żadnego, ugruntowanego systemu etycznego” (Dziennik, s. 360). Jasne, powiecie, publicysta „Tygodnika Powszechnego”. A i owszem, ale czy my chcemy właściwie wiedzieć, co to kiedyś znaczyło? Co w kontekście swej środowiskowej przynależności myślał Tyrmand? „O autentycznych katolikach nie mówię, ale ciekawym, czy liberał Kisiel, radykał Szczepański i estetyzujący chrześcijanin Herbert napędzani są innym paliwem, a jeśli tak, to jakim? Pożądaję utwierdzeń w wierze, przydałoby mi się podtrzymanie w jakimś modnym i efektownym kolorze” (Dziennik, s. 32) – pisał autoironicznie. Ale czy nie jest to stanowisko ujmujące swą szczerością i jakimś wewnętrznym pragnieniem? Miał świadomość trudności tej sytuacji, światopogląd pełen sprzeczności – jak pisał – jest kłopotliwym ekwipunkiem na dalszą drogę życiową. Z Dziennika 1954 wiemy, że Tyrmand wychowany był skromnie, co zaowocowało czymś w rodzaju postawy życiowego umiaru, „w której wiedza o tym, jak dobry jest świeży chleb z masłem i jak niełatwo jest go zdobyć, stanowiła zarazem pryncypium i busołą. Za to wdzięczny jestem moim rodzicom, lecz nie tylko za to” (Dziennik, s. 360). Nie był wyznawcą świecko rumianych cnót. Zdawał sobie sprawę z wielkiej wagi religii dla podtrzymania etosu: „Życie mówiło mi na każdym kroku, że albo sukces, albo przyzwoitość wobec siebie i swych własnych wyobrażeń o przyzwoitości, że jeśli już nieugięta uczciwość intencji i postępowania, to lepiej czerpać ją z jakiegoś religijnego systemu nakazów, kar i nagród, skoro zaś religijność nie jest aż tak godna uwagi, by jej przestrzegać w określonym rytuale i skrupulatnie żyć według jej przykazań, to w takim razie po co czystość myśli i czynów?” (Dziennik, s. 360).

Namnożyło nam się pytań i problemów. Tymczasem interesująco opisane rozterki religijne porucznika Stukułki (Wędrówki, s. 67–69), postaci stworzonej przez Tyrmanda jeszcze pod koniec lat 40., jak i zaskakujące, końcowe odwołanie, modlitwa za Andrzeja Felaka, kunktatora przeciwstawionego łądząco podobnemu do Tyrmanda Mikołajowi Plankowi, („Boże, bądź dla niego DOBRY”) zamykające pamflet na warszawskie elity – Życie towarzyskie i uczuciowe (Życie, s. 514) – pozwalają sądzić, że temat wiary jest w tej twórczości, mimo że nie narzucający się od razu, to fundamentalny.

Jednym z kluczy do zrozumienia religijności Tyrmanda, a przynajmniej jakiegoś opisu pewnej z literackich autokreacji, będzie sięgnięcie po obszerny cytat dotyczący ojca pisarza: „Mój biedny ojciec był żywym dowodem tego składziku niekonsekwencji: całe życie marzył o zamożności, był uczciwy i dobry dla innych, z westchnieniem przyznawał, że niczego mu to nie dało, w Boga wierzył bez dewocji, lecz z pokorą, nieustannie sporządzał rachunek swych powinności, cnót i poświęceń, z którego wynikało, że należy mu się to, za czym goni, ale nie dostawał niczego, czego pragnął, stąd jasne było, że w rachunku jest jakiś błąd, którego nigdy nie potrafił sobie wytłumaczyć”. I oto rzecz zadziwiająca: „Po tylu latach i tylu rozeznaniach, co jest i jak jest, ja ciągle wierzę, że mój kochany, biedny ojciec miał rację, że mniej ważne jest, kim nie był niż kim był, że jego prawość i jego klęski to jakaś wspólna, niezwykła, drogocenna wartość, i że ja innej nie chcę. Wiem, co niesie, wiem, ile w niej goryczy, smutku, rozczarowania, ale też wiem, że odziedziczonej po nim uczciwości wobec innych i siebie nie mam potrzeby, nie próbuję i nie potrafię tłumaczyć: jest i tyle. Przez serce me przewalały się wiary, ideologie, odstępstwa i nadużycia, lecz nigdy nie wyciekła zeń szczerza i płytką religijność posiana w nim przez

ojca i jego przykład moralny, skromny, być może, wręcz banalny, lecz pożywniejszy od wszystkiego, co wyczytałem w księgach, ewangeliach i na sztandarach” (Dziennik, s. 361).

Pomocne dla rozeznania się w podejmowanym przez nas temacie mogą być także opinie znajomych pisarza, zebrane przez Mariusza Urbanka w książce *Zły Tyrmand*. Franciszek Walicki spytał kiedyś Tyrmanda, czy jest Żydem. Ten na to w odpowiedzi miał się tajemniczo uśmiechnąć i pokazać krzyżyk na piersiach (*Zły Tyrmand*, s. 11). Jedną z sympatii Tyrmanda, Rysię, zboleć miało to, że w Ameryce powrócił do judaizmu. „Oprócz tego, co dałam mu jako kobieta, wiara była najważniejszą rzeczą, jaką ode mnie otrzymał – mówiła” (*Zły Tyrmand*, s. 71). Józef Szczepański potwierdza, że pogrzeb pisarza w USA odbył się w obrzędzie żydowskim. Kazimierz Koźniewski komentuje sprawę zdecydowanie negatywnie: „Leopold był młodym człowiekiem, który chciał się bawić. Lubił jazz i panienki, a poza tym jeszcze chciał się wyróżniać, więc postanowił być katolikiem. To był katolicyzm na pokaz, który nijak miał się do tych nastoletnich panienek, które deprawował na swoim tapczanie w Ymce” (*Zły Tyrmand*, s. 153). Jednak w opinii Szczepańskiego, etap katolicki Tyrmanda nie był wcale powierzchowny: „W tych czasach, kiedy rzeczywistość wokoło podważyła tak wiele wartości, on chciał opowiedzieć się za czymś niekoniunkturalnym i trwałym. Odnajdywał to w katolicyzmie” (*Zły Tyrmand*, s. 83). Tyrmand przyjął chrzest na początku lat 50., rodzicami chrzestnymi byli Kisiel i Rysia, a sakramentu udzielał ks. Jan Zieja. Jerzy Borejsza miał powtarzać: „Panie Tyrmand, jak się wygląda tak jak Pan, to zapisuje się do komunistów, a nie chodzi na roraty. A on wybierał roraty i chodził nawet do kardynała Wyszyńskiego – wspomina Krystyna Sznerr” (*Zły Tyrmand*, s. 106). Jan Wołoski natomiast uważał, że Tyrmand był klasycznym neofitą, który chodzi do Kościoła tylko wtedy, kiedy ktoś to może zobaczyć (*Zły Tyrmand*, s. 91). Autorką najbardziej intrygującej

charakterystyki jest Irena Szymańska: „W dzienniku jest scena, w której Lolo, będąc w łóżku z jakąś młodą dziewczyną, myśli jednocześnie o Matce Boskiej. I to właśnie cały Lolo, to może jest najbardziej dla niego charakterystyczne” (Zły Tyrmand, s. 183). Opinia tym bardziej zaskakująca, że bardzo trudno tę scenę odnaleźć, w Dzienniku, jak się wydaje, takiej sceny nie ma. Ale było coś na rzeczy? Najmocniej chyba przekonuje mnie zapisek z 25 stycznia: „Coś się zagmatwało, coś, w czym rozum pali się jak celuloide. Wiedziałem, co mogłoby pomóc: zejść na plac Trzech Krzyży i postać trochę przed zamkniętym (sic! – przyp. J.L.) kościołem św. Aleksandra. Coś mówiło: «A właśnie, że zejdziesz...» Czy to jest poszukiwanie wiary, czy może już wiara? Gdy musi się iść? Rzucić rozsądne ciepło i iść w noc i mróz, w zmęczenie, w niepewność, w podejrzenie o własną śmieszność, że to jest zabobon? Coś w tym jest – wiara to nie tylko zaprzeczenie rozumowi, lecz i instynktom, w tym chyba większa jej chwała. Nawet to, czy Bóg nagrodzi i odwróci nieszczęście, schodzi na drugi plan. Idzie się, bo się wierzy”. (Dziennik, s. 134) Niby miało być Houston, a wciąż jakby pozostajemy w PRL-u...

Jakub Lubelski

Pełna wersja tekstu w najnowszej "Frondzie"